



CO BY W BUCZY ZROBIŁ STAWROGIN?

**Dostojewski odpowiedzialny
za działalność biesów?**

Tak. Ale nie za Gułag i Kołymę

Grzegorz Przebinda*

Dwa, jak wiadomo, fundamentalne pytania rosyjskiej inteligencji, wywodzące się jeszcze z połowy XIX w., brzmią dziś szczególnie ostro i aktualnie: „Kto winien?” i „Co robić?”.

Pierwsze z nich to źródłowo tytuł powieści Aleksandra Hercena z 1846 r., stawiającego sobie i rodakom dramatyczne pytanie o przyczyny archaicznego despotyzmu w Rosji Mikołaja I. A i dzisiejsi Rosjanie – ci oczywiście, którzy obecną wojnę Rosji przeciw Ukrainie uznają za jedną z największych katastrof geopolitycznych XXI w. – zadają sobie pytanie, czy jest efektem imperialnej konieczności dziejowej, czy raczej wynika ze zbrodniczego woluntaryzmu śmiertelnie chorego na imperium człowieka.

Drugie pytanie, „Co robić?”, to oczywiście tytuł powieści z 1862 r. Nikołaja Czernyszewskiego, bardzo notabene przez Ukraińców do dziś szanowanego za zrozumienie dla ich narodowej odrębności. Dziś w Polsce i Ukrainie lubi się jednak przypominać i jednocześnie potępiać innych rosyjskich twórców na czele z Fiodorem Dostojewskim i Lwem Tołstojem.

Jakiś czas temu opublikowałem w „Wyborczej” artykuł „Znam coraz więcej uczciwych Rosjan”, gdzie wyraziłem przekonanie, którego nie wyprę się nigdy: „Za Buczę i Mariupol nie są odpowiedzialni Dostojewski ani Tołstoj. Ani sprawiedliwi Rosjanie, którzy działają przeciw Putinowi nie od dziś. A i tak zbierają ciężki za to, że są Rosjanami”.

Prof. Andrzej de Lazari, z którym, mimo różnic poglądów, znam się 30 lat, podjął ze mną częściową, acz istotną polemikę:

„Także znam wielu uczciwych Rosjan, którzy chcą być Europejczykami, a nie brutalnymi Eurazjatami, toczącymi wojnę w imię mitycznego »rosyjskiego świata«, i wspieram Grzegorza, gdy tych uczciwych broni. Zgadza się również z nim, że pacyfista Lew Tołstoj, nauczyciel Mahatmy Gandhiego, wykluczony z prawosławnej Cerkwi za swoje poglądy, w żadnej mierze nie jest odpowiedzialny za rosyjskie zbrodnie w Buczy i Mariupolu.

Nie zgadzam się natomiast, by winę za te zbrodnie zdejmować z Fiodora Dostojewskiego. Mówię tu, rzecz jasna, o pośredniej winie rosyjskiego ideologa skrajnego nacjonalizmu, a nie o winie autora »Zbrodni i kary«.

»Moralnym autorytetem dla Rosjan powinien stać się Fiodor Dostojewski, jego zaś światopogląd podstawą nowej ideologii kraju«. Takie wnioski oficjalne media wyciągnęły z osobistego udziału Putina w otwarciu Moskiewskiego Domu Dostojewskiego trzy miesiące przed najazdem na Ukrainę. Obecność Putina w tym muzeum miała być swoistą kontynuacją jego wystąpienia na plenarnej sesji Klubu »Waldaj«, w którym zarysował ideologię »zdrowego konserwatyzmu« dla Rosji”.

Oczywiście Dostojewski święty nie był – po wielokroć odnosiłem się krytycznie do skrajnego nacjonalizmu autora „Biesów”, zauważonego skądinąd już przez jego młodszego admiratora Władimira Sołowjowa: „W żadnym wypadku nie możemy pochwalać napaści Dostojewskiego na »żydów«, Polaków, Francuzów i Niemców, na całą Europę, na wszystkie obce wyznania”.

Gdy w 1992 r. sam opublikowałem książkę o Sołowjowie, stwierdziłem tam autorytatywnie: „Sam Dostojewski, jeśli wierzyć wspomnieniu jego współczesnego, wykazywał niekiedy wątpliwości co do moralnej oceny terroryzmu. My zaś możemy dodać, iż Dostojewski – jako chwalcza carskiego despotyzmu i imperializmu (w „Dzienniku pisarza”) – był w znacznie większym stopniu odpowiedzialny za działalność biesów aniżeli surowo przezeń osądzeni [liberałowie] Granowski i Turgieniew” („Włodzi-

mierz Sołowjow wobec historii”). Dziś uściślię: „odpowiedzialny za działalność biesów” – tak! – ale konkretnie za Gułag i za Kołymę – absolutnie nie! Odpowiedzialność za wzmacnianie wielkorosyjskiego prawosławnego nacjonalizmu – tak! – ale konkretnie za Buczę – absolutnie nie!

Tym bardziej że Dostojewski jako pisarz i myśliciel to zjawisko po stokroć wielowymiarowe – pod wielkim wrażeniem jego twórczości pozostawał m.in. Karol Wojtyła, a i Czesław Miłosz zajmował się światem idei Dostojewskiego i nim samym wręcz przez całe życie, nigdy go zresztą do końca nie zgłębiając. Ponad 20 lat temu mówił Miłosz: „Pokusa silnego państwa rosyjskiego jest tak żywa dla umysłów Rosjan, że wydaje mi się, iż można sobie wyobrazić Dostojewskiego jako wyznawcę stalinizmu”. Jednak sześć lat wcześniej pisał w „Tygodniku Powszechnym”:

„Dostojewski stawiał (...) diagnozę, namiętną, bo dyktowaną przez miłość do Rosji, ale też ważną dla całej ludzkości w erze naukowego przelomu. Zapewne, trzeba było być Rosjaninem, żeby domyśleć do końca skutki obalenia duchowej hierarchii i zapytywać: »Jeśli nie ma Boga, to jaki ja kapitan?«. Niemniej i nierosyjscy czytelnicy mogli znaleźć u tych rezonerów własne myślowe niepokoje, jedynie zdumiewająco wyjątkowe. Wykładać Dostojewskiego, kiedy to, co zapowiedział, dokonało się na Sołowkach, w Workucie i na Kołymie, w Oświęcimiu i Treblince. Może moi słuchacze nie chwytały związku pomiędzy ideami i ich następstwami w praktyce, ale ja dostatecznie wiedziałem, że istnieje”.

Dostojewski występuje w tym ostatnim Miłoszowym fragmencie wyłącznie jako „prorok”, ostrzegający przed ludobójczymi totalitaryzmami, ale przecież nie ich propagator. Dziwię się, że takie potwornie uproszczone tezy budzą dziś ów wielki entuzjazm rzeszy polskich i ukraińskich przeciwników wojny Putina, mimo że ani o centymetr nie przybliżają one zrozumienia genezy tej zbrodniczej interwencji wojennej Rosji. Ze swej strony jestem dogłębnie przekonany, że akurat to, co wydarzyło się w Buczy, zostało już przez Dostojewskiego przedwstępnie potępione. Oto mój dowód, niechby i pośredni.

W Teatrze Nowym w Rydze odbyła się właśnie premiera spektaklu „Post Scriptum” w reżyserii Alvisa Hermanisa, z główną rolą Czulpan Chamatowej. Jest to pierwszy spektakl aktorki po tym, gdy porzuciła Rosję po serii swych antywojennych wypowiedzi. A oto ogólna treść tej nie tylko scenicznej historii.

Moskiewska nauczycielka Nadia – której prototypem była jedna z realnych kobiet, opisana niegdyś przez Annę Politkowską – czyta w swoim mieszkaniu wypracowania uczniów. Jest całkowicie samotna – syn i mąż zginęli jesienią 2002 r. w Teatrze na Dubrowce, podczas spektaklu „Nord-Ost”, przerwano go atakiem terrorystycznym i potwornie nieudolną akcją służb specjalnych Rosji.

Jedno z uczniowskich wypracowań dotyczy głośnego rozdziału „U Tichona” z „Biesów” – w swoim czasie notabene zatrzymanego przez cenzurę carską – gdzie bohater powieści Nikołaj Stawrogin próbuje dokonać aktu ekspiacji wobec mnicha – za to, że zgwałcił wcześniej dziesięcioletnią dziewczynkę o imieniu Matriosza.

Aktorka Chamatowa też znajduje się na scenie zupełnie sama – gra bowiem zarówno nauczycielkę Nadie, jak i Stawroginę oraz mnicha Tichona. W momencie kulminacyjnym o Tichona nabiera gorkiego przekonania, że akt żalu i pokuta są dla Stawrogina absolutnie niemożliwe. I straszliwie go to przeraża.

Chamatowa interpretuje to tak, że Stawrogin i Tichon to dwa oblicza zarówno historycznej, jak i dzisiejszej Rosji: „Powiedziałam podczas prób Alwisowi, że groza, jaką odczuł Tichon, była efektem jego świadomości, iż Stawrogin nigdy się nie pokaja. I właśnie, by się nie pokajać, popelniał przed

tym jeszcze cięższą zbrodnię. A Stawrogin – to Rosja. To ja tak powiedziałam, ale Alvis rozsądnie założył, że Rosja to nie tylko Stawrogin. Tichon – to także Rosja. Stawrogin i Tichon to dwie składowe Rosji, w tym także i mnie – Czulpan Chamatowej”.

Fundamentalna pomyłka Dostojewskiego polegała oczywiście na tym, że Stawrogina uznawał on za „europejską narosił” na zdrowym ludowo-prawosławnym ciele Rosji. Jednak nawet i taki błąd nie może być powodem do przypisywania dziś Dostojewskiemu winy za zbrodnicze czyny zbrodactwa rosyjskiego na przedmieściach i w okolicach Kijowa. Tym bardziej że oprawcy ani Dostojewskiego, ani nikogo innego w swym życiu dobrowolnie nie przeczytali. I nie jest bynajmniej przypadkiem, że uważny i utalentowany pisarz Ziemowit Szczerek, który niedawno odwiedził właśnie Buczę, poczynił tam również i taką bezcenną obserwację: „– Był taki jeden w Buczy – mówił wcześniej Leś, uźhorodzki pisarz, który w Kijowie mieszka – co miał księgarnię. I całą okupację, kurwa, przeżył w spokoju, bo Ruscy do księgarni nawet nie weszli”.

Mój stary i dobry druh Andrzej de Lazari, obwiniając pośrednio o Buczę Dostojewskiego, z Tolstoja jako pacyfisty winę szczęśliwie zdejmując. Inaczej natomiast uczyniła jakiś czas temu, też w „Wyborczej”, wybitna ukraińska pisarka Oksana Zabużko, deklarując: „Jeśli zaakceptujesz tezę Tolstoja, gratulacje. Jesteś gotów na przybycie rosyjskich wojsk”. A co to za teza, dowiadujemy się pośrednio z akapitu po śródtytuł „Kogo zmasakrował kochanek Anny Kareniny”:

„Wszyscy pamiętamy, że Anna Karenina rzuciła się pod pociąg, ale mało kto, że jej zrozpaczony kochanek pojedzie walczyć na Kaukazie, czyli zafundować tamtejszym narodom to samo, co dziś oficerowie Putina Ukraincom. Co zrozumiale, czytelnik sympatyzuje z Wrońskim, a nie mimochodem wspomnianymi ludami kaukaskimi, z którymi idzie na wojnę. Owa optyka »wybiórczej empatii« jest integralną cechą rosyjskiego imperializmu, a co za tym idzie i literatury rosyjskiej, która zawsze była jego beneficjentem”.

A jednak warto, choćby i z niechęcią, przeczytać w miarę uważnie to, co się krytykuje. Nie mógł Aleksy Wroński wyjechać w 1876 r. na wojnę na Kaukaz, bo ten – a chodzi tu oczywiście o Kaukaz Północny z Czeczenią, Inguszetią i Dagestanem – był już przez Rosję podbity 20 lat wcześniej. Wiosną 1876 udał się on natomiast, jako ochotnik, na wojnę bułgarsko-turecką, która w latach 1877-78 przekształciła się w zwycięską batalię wojenną Rosji z coraz bardziej słabą i osamotnioną w Europie Turcją.

Późny Lew Tolstoj żadnej wojny już oczywiście nie popierał, utożsamianie go zatem z Wrońskim – a już szczególnie tym „udającym się na Kau-

kaz” – to dowód na socrealistyczne pojmowanie literatury, gdy pisarza odsądza się od czci i wiary za „nieproletariacką postawę” jego bohaterów. Tak potraktowano choćby zdolnego pisarza Jurija Olesę za obraz inteligenta Kawalerowa w powieści „Zawiść” (1927)...

Tolstojowi natomiast za jego pacyfizm podczas wojny 1877-78 czynił gorzkie wyrzuty w „Dzienniku pisarza” Dostojewski. Oczywiście sam był gorącym orędownikiem tej wojny Rosji z Turcją i apelował o wejście wojsk carskich do samej tureckiej stolicy. „Konstantynopol musi być nasz” – apelował w „Dzienniku...”. Jednak wojska carskie – mimo że przebywały już w czarnomorskiej osadzie San Stefano, dosłownie o rzut kamieniem od Stambułu (zwanego wtedy równolegle Konstantynopolem), a oficerowie rwali się, aby zawiesić dwugłowego orła na murach dawnego Carogrodu – otrzymały telegraficznie z Petersburga zakaz wkroczenia do stolicy Turcji. Stało się tak głównie za sprawą Anglii, która nie chciała nadmiernego osłabienia Turcji, tak że wejście wojsk carskich do jej stolicy uznałaby za casus belli z Rosją.

Ogólnie tamta wojna, nie licząc „wyrzutków” w stylu Tolstoja, cieszyła się ogromnym poparciem elit rosyjskich, w tym i całego społeczeństwa Rosji, na ile ono oczywiście istniało. Traktowano ją bowiem powszechnie jako zwycięski już ostateczny finał walki o wolność dla narodów bałkańskich, dążących do wyzwolenia spod wielowiekowej zależności od Turcji.

Znamienne, że nawet taki znany aż do dziś myśliciel rosyjski Władimir Sołowjow (1853-1900) rwał się wówczas na front do Rumunii, zaopatrzywszy się już na drogę w rewolwer. Ale wtedy to nie Rosja dokonywała zbrodni wojennych, ale Turcja – przeciwko której pojechał właśnie walczyć do Bułgarii kochanek śp. Anny Kareniny.

Potworne tureckie masakry podczas kwietniowego powstania w 1876 r. w Bułgarii wywołały zresztą ogólnoeuropejskie potępienie, dokładnie tak jak dziś „rosyjska Bucza”. Nieprzypadkowo bohater „Azazela” Akunina gazety z opisem „bestialstw baszybuzuków” w tym kraju nie uznaje za dobrą lekturę przedobiednią. Tureckie zbrodnie, w tym na dzieciach i na kobietach, będą niedługo kontynuowane w tureckiej Armenii.

Nie szukajmy zatem winowajców współczesnej Buczy aż w rosyjskiej literackiej klasycy XIX w. Nie przybliży nas to ani o milimetr do przykładowego ukarania prawdziwych oprawców.

Podoba mi się natomiast Francja, która już dawno wysłała pod Kijów do Buczy odpowiednich specjalistów. Ci zaś – miast cytować błędnie Tolstoja albo porównywać teksty Dostojewskiego z „Mein Kampf” Hitlera – przekopują w pocie czoła centymetr po centymetrze skrwawioną buczańską podkijowską ziemię, odkrywają w czaszkach zabitych otwory po strzałach z najbliższej odległości, badają DNA ofiar i sprawców... I katalogują to wszystko dla potrzeb – mam taką twardą nadzieję – nowej Norymbergi.

Oby trafił tam również – prócz oczywiście Władimira Putina, Siergieja Szojgu, Siergieja Ławrowa, Dmitrija Miedwiediewa, Margarity Simonjan i Marii Zacharowej – także i ten żołnierz rosyjski, który chwalił się pod koniec lutego (w rozmowie przechwyconej przez niemiecką federalną służbę wywiadu BND), że zabił właśnie w Buczy ukraińskiego rowerzystę w podeszłym wieku. ●

*Grzegorz Przebinda – ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. Autor m.in. książki „Włodzimierz Sołowjow wobec historii”, Kraków 1992.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Żuraw, samolot, rakiety

24 maja radość wiosennego lasu w Starym Olsztynie,
pod kopułą chmur przemyka panteistyczny żuraw,
hieroglif przyrody, nad nim huk odrzutowca
w kierunku bałtyckiej Rosji, sto kilometrów i granica,
dla ruskich rakiet to nieduża odległość.

Polska to nie ptica ani zagranica.

Nigdy nie myślałem, że wyglądając lotu żurawia,
bać się będę przelotu rakiet, huku odrzutowców.

Ukraiński żołnierz trzyma blisko siebie synka,
który go piąstkami okłada po twarzy;
pożegnanie na dworcu z rodziną, która schroni się w Polsce.
Możliwe, że żołnierz bohater nie żyje.
Niemożliwe, ale Rosja morduje Ukrainę.

Rozmawiamy, jedząc lody na warmińskim rynku.
Mój 70-letni rówieśnik przyjął uchodźców z Charkowa:
„To co opowiadają nie mieści się w głowie,
gdyby nas zaatakował Putin, to wywożę rodzinę do Norwegii,
wracam i zaciągam się do obrony, byłem w wojsku
i wiem, jak się strzela. Przynajmniej tak zgine,
zabijając chociażby jednego nazistę Rosjanina.
Inaczej bym bezbronny oszalał. Ukraińcy teraz,
rzecz niesłychana, są naszymi europejskimi przyjaciółmi,
walczą za nas, ale i my nie odpuścimy zbrodniarzom”.

Zgadzam się z nim, a byłem kiedyś żarliwym pacyfistą,
w PRL-u miałem wybór: koszary, szpital, więzienie,
wybrałem psychiatryk zamiast garnizonu:
„Dacie mi karabin, to was zastrzelę i samego siebie!”.
Wystarczyło na odroczenie, a potem na kolejne szajby.
Nienawidziłem wojny, ale i tego, że polskie wojsko
było wojskiem sowieckim. Kiedy urodzili się synowie,
nie bawili się w wojnę jak ja w dzieciństwie na podwórku,
kiedy nikt nie chciał być szkopem albo kacapem,
ktoś musiał, bo Polska miała wygrać z wrogami,
przynajmniej w tym pruskoschodnim mieście,
zdobywanym przez Sowietów Kopielewa i Solżenicyna.

Synowie mają mi za złe, że ich poetycko wychowałem,
kiedy świat pokazał apokaliptyczną naturę historii;
teraz boją się o wnuki, o ich obiecaną przyszłość,
osacza nas zło absolutne i wzywa do losu tragiczne dobro.

Ukraiński żołnierz obejmuje dwuletniego synka,
który go piąstkami z płaczem okłada po helmie.
Możliwe, że obrońca ojczyzny już nie żyje.
Niemożliwe, aby Ukraina umarła,
razem obronimy niepodległe życie.

24 maja 2022



FOT.
ROBERT ROBASZEWSKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL

*Kazimierz Brakoniecki – ur. w 1952 r., poeta i eseista, tłumacz i redaktor, animator kultury i sztuki. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, mieszka w Olsztynie. Współtwórca Wspólnoty Kulturowej „Borussia”; w latach 1995-2018 dyrektor samorządowego Centrum Polsko-Francuskiego w Olsztynie.



Być może przyczyną wojny Rosji
przeciw Ukrainie jest
zbrodniczy woluntaryzm śmiertelnie
chorego na imperium człowieka